№ XIII. Cena 2 m.

Łazik

KOMENDANTOWI.



NASZ NACZELNY WÓDZ.

Nasz Naczelny Wódz
wie, jak wroga tłuc.
Gdy się zjawi śród żołnierzy,
każdy w siły swoje wierzy —
Wszystko może wódz.

Bo ty, Wodzu nasz,
męskie serce masz
Jak przystało polakowi,
sztorcem stawałeś carowi,
patrząc śmierci w twarz.

Chociaż wielu zmógł
ziemi naszej wróg,
Choć z nim różne paktowały,
Tyś stał, jako słup ze skały,
u roztajnych dróg.

Twardy żywot Twój
Komendancie mój.
Gnębił car i Hohenzoller
dziś tysiąc sowdepskich choler
wytacza ci bój. (bh.)

GDZIE JESTES MADELON?

Gdzie jesteś polska Madelon?
Hej, w jakiej świata stronie?
My ziemię tu zbraczamy krwią,
A niemasz, niemasz Madelon
W złocistych pasm koronie...

Bo musisz mieć złocisty włos
O! Madelon nieznana —
Jak naszych pól pszeniczny kłos,
Złocisty będziesz miała włos,
Dziewczyno ty kochana!

A oczy — niby chabry dwa,
Co śmiało patrzą w słońce —
Ostre, jak grot, czyste jak łza,
A usta - maku płatki dwa:
Czerwone i śmiejące

Pod twą koszulką będzie bić
Nieustraszone serce
Co w huku dział nie umie drżyć.
Dla żołnierzyka, gdy chce pić,
Nieść będziesz miód w manierce.

A dla żołnierza, gdy od ran
Zwija się w nagłej męce —
Mieć będziesz czystej wody dzban,
Bandaży zwój dla krwawych ran
I miłosierne ręce...

A dla żołnierza, gdy go noc
Ogarnie smutku, żalu,
Piosenek będziesz miała moc,
Gdy smutku go ogarnie noc —
Na ustach swych z koralu.

A gdy wypadkiem w bitwy krąg
Zła wciągnie cię godzina,
Nie pożałujesz małych rąk
I szablą rąbać będziesz wkrąg —
Boś polska jest dziewczyna!

I będziesz nam, o Madelon,
Jako wśród burz jutrzenka,
O której żołnierzyki śnią —
Nieznana, słodka Madelon —
Choć zblizka granat pęka!

A nie daj-że nam jeno śnić
O sobie wciąż, dziewczyno! —
Lecz przyjdź, Madelon, żywa, przyjdź
Przyjdź śmiać się z nami, śpiewać, bić,
Póki dni w boju płyną

Póki to życie — śmierci siew
Dziwne — jak tom powieści,
W którą się wplata śmiech i krew
Nadludzki czyn, beztroski śpiew,
I sen się z jawą mieści...

W. ST. PŁOMIEŃCZYK.

MYSLI KRESOWATE.

Kawiarnia. Masa gości, między nimi są także i tak zwani galicjanie (polacy gorszej rasy, jak wiadomó: cecha, „pani dobrodziejko” i „całuję rączki”, druga: ukończone zwykle studja uniwerstyteckie, tytuł: o ile młodszy dr, starszy, pan radca). Obsługa żeńska, nie zwykła żeńska, lecz przez pomyłkę dziejową, na złość kresowych mużickich obywateli „dobrze urodzone” z prawdziwemi pierścionkami złotemi i kamieniami prawdziwemi i w niezrabowanych kolczyków (drogocenne pamiątki rodowe) podają na „stalowanie” czarną lub tak zwane po polsku „butersznyty”, zupełnie jak na „banchofie”.

Są niektóre poważne matrony, inne młodsze, te drugie nie pamiętają już tych lepszych czasów „miortwych” dusz, ale dziś czasowo, dopóki „la canaile” nie będzie uspokojona, muszą gwoli procentów obsługiwać, o horribile dictu, nawet parjasów demokratycznych.

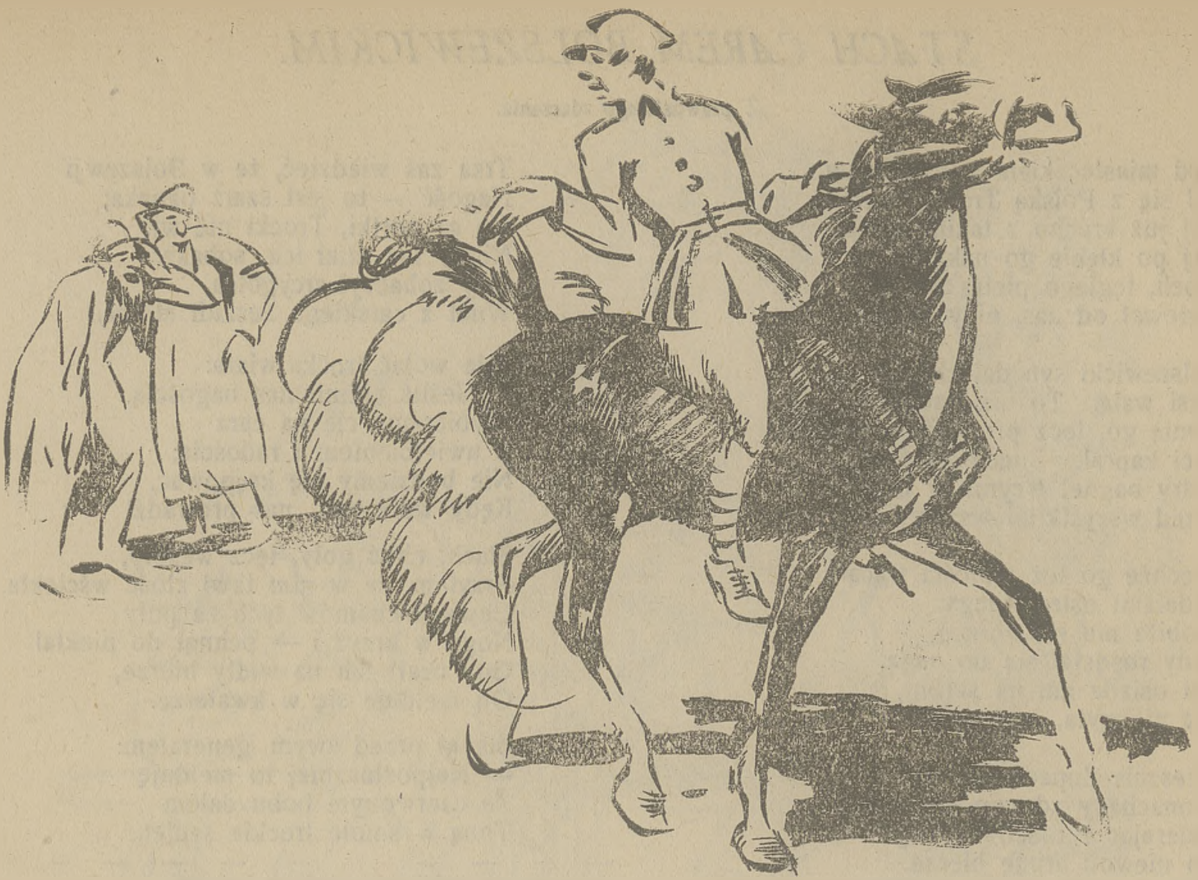
Jedna z dystygnowanych odzywa się do gościa:

— Pan galicjanin? — O znam galicjan, sjedzjeli u nas w plenie, u nas w Rosji.

— To pani rosjanka?

— Ee, nie — ale dużo widzjało się tych głodomorków u nas. Jak nasi prowadzili wojnę, to brali ich masami tych galicjan do plenu.

Lesław J. Słoboda.



— Panie żołnierz, po czemu funt te szkape?
— Proszę, wejdź kupiec do sklepu, to się dowiesz.

NOWA METODA BERLITZA.

Szopienice. Buksy górnośląskie, które na własną rękę i z własnej inicjatywy postanowiły wziąć się do zycherki, co katowała lud polski na Górnym Śląsku—wzięły do niewoli oficera zycherki, t. j. tak zwanej zielonki.

Oficer dumny, monokl w oku, po polsku nic, udaje, że nie rozumie.

Jeden z „pieronów" przykłada „rułę" do główki pana lojtnanta.

— Pieronie, gdzie reszta zielonków. Mów, bo ci strzelę w łeb.

Pieron—buks mówił po polsku.

Panu lojtnantowi, który uczuł zimno lufy koło skroni—mimowoli wyleciało ze strachu szkiełko z oka —i za chwilę przemówił po polsku do naszych dzielnych samoobrońców górnośląskich, którzy powinni dostać pierwszą nagrodę za szybkie nauczanie obcych języków.

———

W miejscowości jakiejś na „ice" (Mysłowice, Szopienice, Katowice i t. d.), a więc w jakiejś, jakem powiedział, miejscowości na „ice" była kawiarnia. Do niej zachodziłem od czasu do czasu. Żaden z kelnerów nie rozumiał nic a nic po polsku. Kiedy dzielna nasza samoobrona zajęła tę miejscowość, kończącą się na „ice", tak gospodarz, jak i służba zupełnie dobrze rozumiała po polsku i odpowiadała gościom po polsku.

Widać z tego, że górnoślązacy posiadają znakomitą metodę poglądową do nauczania języków.

———

Równouprawnienie obu narodów, t.j. polskiego i niemieckiego, na Górnym Śląsku polega na tem, że we wszelkich instytucjach państwowych, kolejowych i w szkołach wszystko jest w języku niemieckim.

Niemcy górnośląscy dają uprawnienie językowi polskiemu tylko w gazecie swej „Pieronie", gdzie od czasu do czasu wymyślają po polsku na polskie „bandy", czem mają nakłonić polaków G. Śl., aby wierni byli niemiecko-pruskiemu faterlandowi.— Chłopy nasi górnośląscy czytają „Pierona" i „pierońskie" przeto zrobili lanie niemcom hajmatstrojom. Obrazek bowiem z „Pierona", przedstawiający „nieporządek" polski, gdzie się nawzajem polacy biją, zastosowali, jota w jotę, tylko że górnośląscy polacy, zamiast między sobą bić się, niemcom sprawili łaźnię.

L. J. Sł.

TAKŻE APETYT.

Mąż, karmiony stale koniną, odzywa się z irytacją do żony:

— Na miłość Boską! kiedy ty mi dasz nareszcie kawałek ludzkiego mięsa!

DLACZEGO?

Dlaczego mówi się: wyje-chała, a nie ryczy strucla?
Dlaczego poli-tyka, a nie Feli drąg?
Dlaczego tuli-pan a nie pieści chłop?
Dlaczego papie-ros, a mamie nie rosł?

STACH CAREM BOLSZEWICKIM.

Z prawdziwego zdarzenia.

Pod miasteczkiem Radzyminem
Bił się z Polską Trocki Szulim:
Kej już krucho z takim synem,
Kej po kłębie go nakulim,
Moch, tęgiego pietra mając,
Zwiewał od nas, niby zając.

Bolszewicki syn dał chodu,
Nasi walą. To nie frachal
Gonią go, lecz pierwszy z przodu
Leci kapral. Znacie Stacha?
Ostry bagnet trzyma w dłoni,
Przed wszystkimi wszarzy goni.

Niechże go też mdłości trącą!
Pedałami ostro smaga:
Zrobiło mu się gorąco,
Tedy rozdział się do naga,
Pot osiada mu na skroni,
Nic nie pyta, jeno goni!

Wreszcie dopadł oną trzodę
I zmachany zdrowo, szczerze,
Ocierając z pleców wodę,
Do niewoli armję bierze.
Wali w pyski, sypie plagi,
Jak niemowlę, całkiem nagi.

Trza zaś wiedzieć, że w Bolszewji
Nagość — to jest szarż oznaka;
Co są portki, Trocki nie wi,
Nigdy nie miał ich, sobaka.
Gdy zobaczył arcygolca,
Wnet z carskiego zesiadł stolca.

Jęła wołać trocka wiara:
— Jeśliś zaćmił nas nagością,
Wybieramy cię na cara
Z uwielbieniem i radością;
Nie będziemy cię krępować,
Kędy wola twa, nas prowadź!

Stach, choć goły, lecz wesoły,
Przytem, że w nim tkwi złość wściekła,
Chwycił chamów tych za poły
Nogą w krzyż i — pchnął do piekła!
Gdy czart ich na widły bierze,
On melduje się w kwaterze.

Stanął przed swym generałem:
— Najposłuszniej to melduję
Że czerwonym bobu dałem
Toną w smole trockie szuje!..

— — — — — — — — — — — —

Za ten czyn kaprala franta
Wódz mu szarżę dał sierżanta.

FRANCESCO.

TAJEMNICA ŚWIĘTEJ KOBIETY.

Pan Kajetan Sobierd-Korzonkiewicz, choć na byczym karku dźwigał już bezmała sześćdziesiąt wiosenek i chciał nawet zostać weteranem, tylko nie został, bo żyjący staruszkowie potracili pamięć i żaden nie mógł go sobie przypomnieć w polu — aż do ostatnich czasów zachował wigor, któregoby mu niejeden stadnik pozazdrościł, gdyby ubiegał się o łaski którejkolwiek z pana Kajetanowych oblubienic.

A była ich galerja, że kiep Sinobrody. Brunetki, blondynki... i grube jak tuczone gęsi, i wiotkie jak trzcinki, i bose dziewki z obory, i sentymentalne anielice salonów sąsiedzkich... Ba! nawet koszlawa Zośka, co dawniej w Sobieradzu za pomywaczkę była, gdy zaprzysięgała dozgonną wierność głuchoniememu Wojtkowi, dostała od pana Kajetana krowę w posagu, bo różnie tam gadano.

A pani Kajetanowa, siwa, wysmukła dama spoglądała na te brewerje przez wypieszczone, cienkie, długie palce i czasem tylko na jej zaciśniętych wargach ukazywał się lekki uśmiech, pełen ntewieściej pobłażliwości.

Święta kobieta!... — mówili sąsiedzi.

Święta kobieta!... — myślał cichutko pan Kajetan i tem śmielej broił dalej, prawie nie tając się z tem nawet przed jedynakiem Stachem, chłopcem spokojnym, sensatem, niepodobnym do ojca ani z postaci, ani z temperatury serca.

Ale i na onego chłodnawego Stacha przyszła kolej.

Którejś gorętszej wiosny zauważył, że panna Wanda z Kolonkowic ma oczy jak chabry, usta jak korale, ząbki jak perełki i t. d., akurat wszystko, jak trzeba, żeby się stać duszą jego duszy, zjawiskiem, bóstwem i t. d.

Ponieważ jednak — jak się rzekło — był to młodzieniec stateczny, opanowany, postanowił przedewszystkiem wyjawić ojcu tajemnicę swego serca.

Pan Kajetan spochmurniał. Milczał chwilę, gryzł wąsy i sapał.

— Niemożliwe!... — bąknął wreszcie, spuszczając oczy.

— Czemu, ojcze?...

— Panna Wanda... panna Wanda... Trudno, mój chłopcze, muszę ci to wprost powiedzieć... jest...

— Co?... ojcze!... co?... czem jest?

— Twoją siostrą.

Więc, naturalnie, był dramat, cichy, męski dramat z zaciśniętemi zębami. Stach zamknął się w pokoju i zmizerniał. Pan Kajetan przez cały dzień nic nie mówił i tylko pod wieczór dał w pysk karbowemu. Minął rok·

Dok. [n.

W SĄDZIE.

— Maciej Pępiel, jesteście oskarżeni, że wasz pies ugryzł Józefa Sikorę. Opowiedzcie, jak to było.

— Ano, co tu gadać, wielebny sądzie. Leżała na drodze kupa gnoju, niby tak, jak pan sędzia. A tu stojał mój pies, niby jak pan prekorator. Sikora chciał odmieść i kopnął psa w zęby. Więc go pies ugryzł. Ady przecie jakby kto pana sędziego w zęby kopnął, toby nie ugryzł?



— Panie poruczniku, jaka jest obecna pańska pozycja?
— Oksrzydlony na tyłach, łaskawa pani...

I TAM TAKŻE.

— Dlaczego dotąd nie zdjęto orła austrjackiego z gmachu studjum rolniczego w Krakowie?

— To ty, głupi, myślisz, że tylko w Warszawie są tacy, co wciąż jeszcze boją się powrotu taty?

TEM LEPIEJ.

— Słyszałeś? Trockij dowodzi, że nie w Rydze, ale na froncie rozstrzygnie się los Rosji.

— Tem lepiej dla nas, armaty gadają daleko prędzej, niż dyplomaci.

Z PRZYGÓD ŁAZIKA.

— Panie cywil, daj pan zapałkę.

— Proszę bardzo.

— No to daj pan za jednym zamachem i papierosa.

OGŁOSZENIA Z ROZSYPANEJ SZPALTY.

Zęby całe i połamane. Wiadomość w restauracji na Saskiej Kępie.

Uczy śpiewu i głos wyrabia doświadczona akuszerka. Dyskrecja zapewniona.

Poszukuje odpowiedniego zajęcia młode, skromne dziewczę ze znajomością buhaja rasy holenderskiej.

Jest do odstąpienia łokciowy interes dla bezdzietnego małżeństwa z wszelkiemi wygodami.

Ośmioklasowe gimnazjum żeńskie (filologiczne) poleca kucharki, młodsze i zdrowe mamki z świeżym pokarmem.

Potrzebna zaraz freblówka z zamkiem hermetycznym.

CO MOWI ŁAZIK?

Jeden mój znajomek, co uciekł z bolszewickiej niewoli, takie ci tera dziwy rozpowiada, że ludzie japy otwierają i głowi z nami kręcą. Więc zara ja do niego: gadaj, pieronie zatracony, pokolei, coś widział, bo muszę mojemu redaktoremu co tydzień jakąś historję nabzdurzyć, inaczej każe do raportu.



Więc ten Wicek mówi, że jak go one bolszewiki do plena wzieni, najpierw mu buty z nóg ściągnęli, rozgotowali w wodzie i zjedli, nawet nie posoliwszy. Ino jeden kumisarz nie chciał, że katolickie buty może trefne.

Patrzał Wicek, jak te ścierwa źrą jego stare kamaszki i nakoniec pyta: to wam się tera dobrze musi powodzić w waszem sowdepskim raju? bo, widzę, towarzyszom apetytu nie brak.

— Ale za to — odpowiadają mu—wolność mamy szeroką. Krasnoarmiejcowi wsio możno, nawet i nie ostorożno. Gdzie ino przyjdziemy, wszystko nasze: kraść można, co ino w rękę wpadnie.. Spotkam na drodze dziada, puszczę?—dobrze—powieszę, też dobrze. Moja rzecz. Wolno. Trafi się baba — pohulam. Też wolno. Znaczy, że swoboda u nas prawdziwa, rosiejska, szerokotorowa.

— No, dobrze—mówi na to Wicek — a co będzie, jak wrócicie do swojego własnego kraju? Kogóż tam będziecie okradali, wieszali i gwałcili?

— Oczywiście—oni na to—burżujów i żydów.

— A jak wszystkich wygubicie?

— Eh, ty się, brat, nie bój. Zawsze się tego trochę na rozpłód zostawi. Toż woły i świnie się wyrzyna, a przecież nigdy nie do końca. Tak samo i z burżujami będzie. My im nawet fabryki pozwolimy stroić, sklepy zakładać, banki otwierać... A przyjdzie święto międzynarodowego proletarjatu, tak my to wszystko w drebiezgi—i niech na nowo zaczynają,

Jak ten Wicek to opowiedział, zara przyszło mi do głowy, że na te rosiejskie narodowe święta zjeżdżać się chyba tam będą złodzieje z całego świata. A ja choć nie fachowy, ino czasami po amatorsku coś komu skieruję, przyobiecałem sobie w cichości ducha, Sowdepję kiedyś odwiedzić i pomódz w ich obchodzie wolności.

To nawet dla Polski lepiej: człowiek tam się wyszumi, a potem tutaj wróci z forsą, ustatkowany i może zostać na własnych śmieciach porządnym przemysłowcem, godnym obywatelem kraju i prezesem jakiego drobnoczynnego przedsiębiorstwa.

Dlatego bardzo mi pilno, żeby tam w Rydze już pokój zrobiono i żeby złodzieje wszystkich krajów—zawodowe i miłośniki—mogli zacząć swoje pielgrzymki do bolszewickiego raju. Niejeden pewno tam się ostanie... To ostatecznie zmartwienia nie będzie. Ale tu u siebie to my już lepiej tych bolszewickich leformów nie róbmy, bo—tak mi się jakoś widzi — że co rok, albo i kilka razy do roku puszczać z dymem fabryki, rozbijać sklepy, rozkradać magazyny, to chyba nas nie bardzo zbogaci. Niech sobie ruskie ludzie takie gospodarstwa prowadzą. Ja im nawet z gustem pomogę, ale tam, u nich, tylko nie tutaj

RÓŻNICA.

— Powiedz mi, jaka jest różnica pomiędzy kawalerzystą a piechurem?

— Kawalerzysta nosi ostrogi, a jak będziesz zawracał głowę mojej Mańce, to ja, piechur, tak ci dam w kark, że się nogami nakryjesz.

WSTYDLIWOŚĆ.

Na postoju. — Jak wy, panie kapral, nie macie wstydu, żeby za moją dziewuchą łazić i w biały dzień ludzką uwagę na nią zwracać.

— Przepraszam was, panie gospodarzu; na drugi raz będę łaził po nocy.

NA INSTRUKCJI.

— Powiedźcie mi, co jest groźniejsze od karabina maszynowego?

— Dwa karabiny maszynowe, panie plutonowy.

NA BALU.

— Panie kapitanie, czy pana nie przeraża myśl, że mam męża.

— Przeciwnie, to tylko mnie uspakaja.

ACH, TE BOCIANY...

Mały Jasio uderzył swą starszą siostrzyczkę.

— Mamusiu—woła rozgniewana dziewczynka—Jasio — jest szkaradny. Ja nie rozumiem, dlaczego ty przyjmujesz wszystko, co ci przyniesie bocian.

W TEATRZE ŻOŁNIERSKIM.

Na scenie kapral - aktor umiera. Ostatnie przedśmiertne chwile. Sala z zapartym oddechem śledzi za „konającym”. Za chwilę zjawić się mają anioły, aby zabrać bohatera do nieba.

Nagle z za sceny rozlega się głos:

— Panie kapral, nie umierać, anioły nie gotowe...

Z ROZMÓW TELEFONERA.

Raz postawił sierżant Telefonera przed koszarami i przykazał patrzeć, czy generał idzie.

Stoi Telefoner całą godzinę, patrzy, oczy mu na wierzch wychodzą.. Nic. Ani śladu generała.



Przylatuje sierżant.

— No, co?— pyta. Szedł generał?

— Uj, panie szerżant, mnie już w obu kolanach strzyka, a jemu wcale nie pilno.

— Stój, patrz dalej.

Minęła znów godzina.

— Gdzie generał? — krzyczy sierżant—pewno prześlepiłeś.

— Of majne munes, pan szerżant, ja nie winien, to un nie chce chodżycz. Poco ja tu będę stał?

— Stój, ofermo, powiedziałem, to stój!

Stoi Telefoner jeszcze godzinę. Jeszcze raz wykrzyczał go sierżant i każe patrzeć dalej.

Nakoniec Telefoner spostrzega zbliżającego się generała.

— Ej, pan generał! — woła uradowany.—Pan ma szczęście, pan szerżant już trzy razy o pana pitał.

*

— Jak się masz Telefoner, co to znaczy, że cię w koszarach prawie trzy miesiące nie widziałem?

— Dostałem dłuższy urlop, pojechałem do Warszawy i ożeniłem się.

— Ożeniłeś się? To dobrze!

— Wcale nie jest dobrze.

— Czemu nie dobrze?

— Wziąłem żonę starą, gadatliwą i garbatą.

— O, to źle!

— Wcale nie jest tak źle, jak myślisz.

— Czemu nie jest źle?

— Bo za żoną wziąłem ładną kamienicę.

— O, to dobrze!

— Całkiem nie jest dobrze.

— Czemu nie dobrze?

— Bo ta kamienica poszła z dymem.

— O, to źle.

— Wcale nie tak źle.

— Czemu nie jest źle?

— Bo razem z kamienicą spaliła się moja żona.

— To dobrze.

— Nu, czy ja mówię że nie jest dobrze?

*

— Psiakrew! Telefoner, nie możesz się wyczesać? Masz pełno wszy na łbie!

— Co robięz, pan doktor, moja matka miała. moja babcza miała... Całe familje. To dżedżyczne!

*

Zawodowy swat spotyka Telefonera —

— Nu, co słuchacz, żenisz się pan?

— Idź pan do djabła! Co mnie pan swatał?.. Ta pańska „kałe", to ładny ptak.

— Co jest? Dlaczego nie ładny ptak?

— Mnie mówili, że tego lata cały Otwock z nią romansował.

— Więc co takiego? Otwock! Cały Otwock! Wielgie miasto. Wszystkiego kilka tysięcy mieszkańców.

OCHOTNICY.

— Panie, czemu pan poszedł na ochotnika?

— Bo by mię i tak wzięli.

— E, do djabła, ja tak się nie bawię!... Poszedłem na ochotnika?... Tak. Ale miałem ochotę zostać majorem, a oni mnie tu robią szeregowcem... To skandal!

NA KOMISJI LEKARSKIEJ.

— E widzę, że ty masz wodę w głowie.

— W głowie? ej to nie możliwie, panie felczer, bo ja jestem z Warszawy, a w Warszawie, na górnych piętrach nikt wody nie ma.

Z FRONTU.

I w rejonie Kobrynia dostała znów po ryju bolszewicka świnia.

U FRYZJERA.

— Czemu pies pański tak patrzy panu na ręce?

— Widzi pan, dzisiaj obciąłem rano pewnemu klijentowi ucho, pies zjadł je i teraz czeka na drugie.

W KASYNIE OFICERSKIEM.

Porucznik — Co to za wieprzowina dziś na obiad? Tak ją czuć, że przez gardło przejść nie chce.

Żołnierz usługujący. Zwyczajne, panie poruczniku, jak świnia—nawet żywa czy parfonami pachnie?

Z TĘSKNOTY ZA OJCZYSTĄ CHATĄ.

— Wiesz? ale ci moskale są ogromnie patrjotyczni.

— Co? dlaczego?

— No bo przecież znacznie szybciej maszerują na wschód, niż szli na zachód. Widocznie, tak im pilno do stron ojczystych.



Uśmiechał się pod Warszawą,
chciał się tu zabawić klawo.



Potem w Mińsku groźnie siadł
i szykował na nas bat.



Przyszła klęska. Więc sobaka
jął zalewać se robaka.



Pogadano z nim na migi,...
więc machnął jucha do... Rygi.!

WARSZAWA 26-GO WRZEŚNIA 1920 r.

Redaktor odpowiedzialny: S. Michalski.

Wydawca: Tow. Akc. „ŁAZIK" Druk S. Michalskiego Chmielna 60.